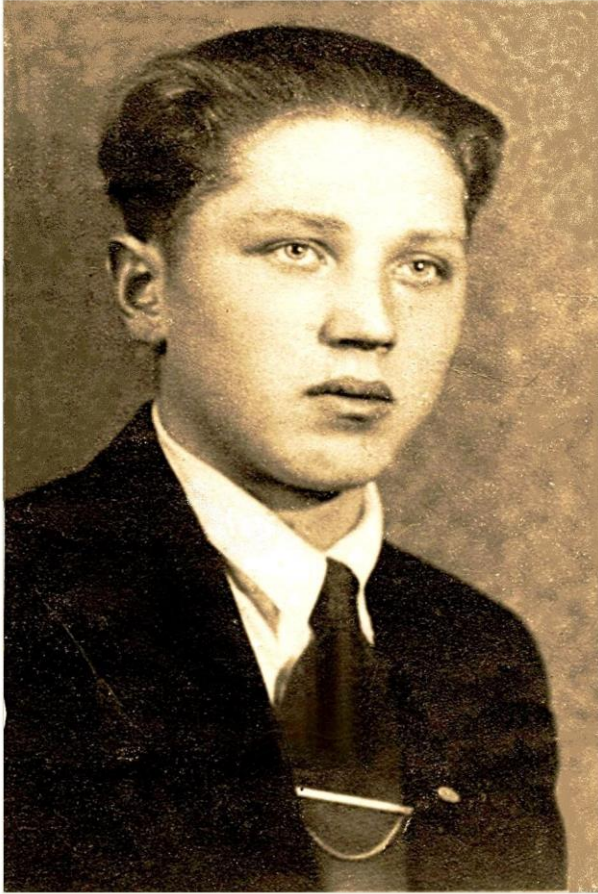


Jan Krupa



KOPYSNO

Na południowy - zachód od miasta Przemyśla, gdzieś w odległości koło 14. km znajdowała się ta wieś. Dlaczego piszę, że była - bo teraz jej nie ma, została tylko po niej nazwa i cerkiew, która stoi do dziś, bo murowana z kamienia i nie spaliła się.

Wokół Kopysna położone były wsie: Rybotycze, Borysławka, Posada Rybotycka, Łodzinka, Cisowa, Brylińce, Koniusza, Gruszowa. Odległość do tych wsi, ze wsi Kopysno wynosiła 2,5 - 3,5 km. Aby dostać się do tych wsi z Kopysna trzeba było przejść przez mały lub nawet większy las.

Wioska Kopysno była niewielką. Było tu 180 gospodarstw, w tym 174 ukraińskich, 5 polskich i jedno żydowskie. We wsi były także budynki publiczne: kościół, szkoła, Dom Ludowy, gdzie w jednej jego połowie była czytelnia „Proswity”, a w drugiej połowie mieścił się sklep spółdzielczy.

Ja, Jan Krupa (o przydomku „Siwak”) urodziłem się w wiosce Kopysno 31 marca 1926 roku i mieszkałem tam aż do października 1942 roku. Przez te 16 lat mojego życia we wsi doszło do takich zdarzeń, które zapamiętałem, jakby było to wczoraj, dlatego też je opisuję.

Jesienią 1930 roku w wiosce przy na ulicy, na której mieszkałem wybuchł pożar. Domy płonęły jak świece, gdyż wszystkie były drewniane i kryte słomianą strzechą. Pamiętam, że było to wieczorem, moja mama wzięła mnie za rękę, młodszą siostrę niosła na ręce, a starsza siostra biegła z boku - i tak bieглиśmy ogrodami do folwarku, który był położony na południowym wschodzie około 300 metrów od wsi, a wiatr wiał z południowego zachodu. Ojciec nasz przebywał w tym czasie w pobliżu domu, wypuszczając z obory inwentarz. Przybiegli na pomoc sąsiedzi i nasi krewni, polewali wodą stodołę i magazyn (piwnicę), które zostały zbudowane na południe od domu,

a wiatr wiał w drugą stronę – i tak stodołę i magazyn uratowali. Ogień był straszny. W ciągu dwóch godzin spaliło się 14 gospodarstw. Dzięki Bogu nie było żadnych ofiar wśród ludzi czy zwierząt.

Wioska Kopysno była bardzo zróżnicowana, było tu 27 gospodarstw, które należały do rodzin o przydomku **Krupa** i 25 gospodarstw należących do rodzin o przydomku **Kaczmar**, a każdy (mieszkaniec wioski) miał jeszcze przezwisko (pseudonim). Po pożarze, ludzie których domy spaliły się rozlokowali się u swoich krewnych, u których mieszkali przez dwa lata i odbudowali w tym czasie swoje drewniane gospodarstwa, ale już w większości dachy domów pokryli blachą.

Latem 1933 roku, nasz przemyski **biskup Jozafat Kocyłowski** odwiedzał wszystkie wsie należące do Przemyskiej diecezji, odprawiając po cerkwiach nabożeństwa, a zebrane darowizny były przeznaczone dla braci i sióstr zza rzeki Zbrucz, gdyż tam panował głód. Kopysno i Rybotycze – należały do jednej parafii (greckokatolickiej). Rybotycze – to była wieś typu miejskiego, było tam 250 gospodarstw ukraińskich, 35 polskich i 14 żydowskich. W Rybotyczach mieszkał nasz **ksiądz Aleksander Hajdukiewicz**, który obsługiwał wsie Rybotycze i Kopysno. Oprócz odprawiania uroczystości w cerkwiach, uczył on w szkołach etyki chrześcijańskiej, a w Kopysnie w każdy poniedziałek i czwartek po jednej godzinie. Dawno już odszedł do wieczności nasz kochany ksiądz Aleksander Hajdukiewicz. Kiedy biskup Jozafat Kocyłowski objeżdżał nasze wioski, wówczas organizowano w każdej wiosce jego wartę przyboczną składającą się z dwudziestu młodzieńców na koniach, która witała go i odprowadzała od wsi do wsi. I pewnego pięknego dnia biskup przybył do Rybotycz,

a następnie miał przyjechać do Kopysna, a stąd nasi kozacy pojechali go przywitać i towarzyszyć mu w drodze do Kopysna. Wówczas to wokół cerkwi w Kopysnie na spotkanie z biskupem zebrało się dużo osób z dziećmi.

Miałem wtedy 7 lat i bardzo chciałem zobaczyć, jak ci nasi kozacy towarzyszą biskupowi. Nikomu nic nie mówiąc, pobiegłem wzdłuż drogi do Rybotycz na spotkanie z nimi. Odbiegłem od wsi może z 500 metrów i zobaczyłem z daleka, że jadą, stanąłem blisko drogi na ścieżce i czekałem.



„Moi rodzice, siostra Mania i ja”

Zobaczyłem jak z przodu jedzie 10 kozaczków i z tyłu też 10 kozaczków, a po środku karetą. Kiedy przejeżdżali koło mnie i karetą zrównała się ze mną, nagle wszyscy zatrzymali się, w karetce zobaczyłem siedzącego biskupa i dwóch księży po bokach. Wszyscy trzej odwrócili się do mnie i coś mówili (a co? - nie słyszałem ponieważ odległość wynosiła około 10 metrów), uśmiechali się do mnie, po czym pomachali rękoma w moim kierunku, ruszyli i pojechali do wsi. Pobiegłem za nimi.

We wsi Kopyśno większość mieszkańców mówiła po ukraińsku i nawet mówiono w polskich rodzinach, a na Święta Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, kolędowanie czy święcenie pokarmów odbywało się w cerkwi. W szkole nauczanie prowadzone było do czwartej klasy. Każdego dnia pierwsza lekcja prowadzona była w języku polskim, arytmetyka i historia również po polsku, a mówiło się (po rusku) i nauka religii była w języku ukraińskim. Nauczycielami były polskie dziewczęta, które często się zmieniały: pobyła taka jeden rok, a może dwa i zastąpiono ją inną. W 1935 roku przybyła do wsi nauczycielka ukraińska, lwowianka **Halina (Galina) Bak**, która była bardzo inteligentną osobą i na dodatek była patriotką.

Wiosną 1938 roku, kiedy to ludzie posadzili już ziemniaki, na niebie pojawiła się bardzo duża, czarna chmura, zapowiadając burzę. Ludzie zaczęli bić w cerkiewne dzwony (były ich dwa), po tym chmura rozeszła się – więc tak to zawsze u nas praktykowano (a w tym czasie jeden z dzwonów pękł). W szkole nasza nauczycielka Halina Bak, powiedziała na ten temat do nas dzieci (cytuję jej słowa): „*Dzieci, to, że pękł dzwon – to znak od Boga, że coś niezwykłego dzieje się we wiosce*”.

I minęły może ze trzy tygodnie, ludzie zaczęli obkopywać ziemniaki. W jednej rodzinie - o przydomku **Kaczmar** - było troje dzieci (dziewczynki). Najstarsza - moja rówieśnica **Anna**

i dwie mniejsze (nie pamiętam ich imion) dziewczynki, były same w domu, a rodzice ich w tym czasie w polu obkopywali ziemniaki. Ta starsza dziewczynka Anna (jak ją wszyscy nazywali) jak na swoje 12 lat życia była bardzo dobrze rozwinięta, bo oprócz tego, że opiekowała się swoimi mniejszymi siostrami, to jeszcze obierała ziemniaki, gotowała, zagniała ciasto, gotowała pierogi - i siadła sobie ona z siostrami na łóżku przy oknie, czekając na rodziców, bo mieli przyjść na obiad. Pogoda na dworze była przepiękna. A tu pojawiła się na niebie mała chmura, zadudnił grzmot i ... błyskawica uderzyła w dach tej chaty. Błyskawica rozłupała krokiew, po czym przebiła na wylot sufit tam, gdzie siedziały dzieci. Annę zabiło na miejscu, a jej dwie siostry zostały ogłuszone. Zanim przyszli rodzice już zbiegli się sąsiedzi, powynosili wszystkie dzieci na podwórko, rozkopali ziemię na grządkach i przysypali je ziemią. Dwie mniejsze dziewczynki otworzyły oczy i dawały oznaki życia, a Anna już nie żyła, miała spalone włosy na głowie. Pod przewodnictwem nauczycielki Haliny Bak pochowaliśmy ją w obecności całej szkoły.

Po tym wydarzeniu, we wsi zaczęto gadać, że tam, gdzie jest ten dom, jest jakieś nieczyste miejsce, dlatego też tam uderzył piorun. Po żniwach, gdzieś pod koniec sierpnia, gospodarz Kaczmar skrzyknął ludzi, podniesiono dom na rolki i przeciągnięto go na przeciwległą stronę podwórza. Gdzieś na początku września w miejscu, gdzie pierwotnie stała chata wydarzył się cud: tam gdzie były drzwi wejściowe, pośrodku progu wyrosło pojedyncze źdźbło zwykłego żyta - w pełnej wysokości, które miało siedem kłosów, gdzie jeden kłos był normalny, a po jednej stronie wyrastały trzy mniejsze i z drugiej strony też trzy mniejsze, a takie równe, jakby wyszły spod

prasy. Ludzie jak się o tym dowiedzieli, to przychodzili i oglądali je, nawet z sąsiednich wiosek. Gospodarz Kaczmar, wbił w ziemię kijek obok tego źdźbła żyta i przywiązał je sznureczkami, tak żeby czasem ktoś go nie złamał. Żdźbło żyta nie kwitło i nie miało ziarna, tak pozostało i obumarło. Jestem świadkiem tych wydarzeń, dotykałem tego kłosa własnymi palcami.



„Chór cerkiewny ze wsi Kopyšno 1938 rok”

W 1939 roku, po zniwach, wybuchła wojna pomiędzy Polską i Niemcami, a za dwa tygodnie przybyły już wojska niemieckie, pobyły tydzień i odeszły, oddając Galicję sowieckiemu imperium. Przybyły wojska radzieckie, a w prawie każdej wiosce było ich pełno. Zaczęto zaprowadzać nowe porządki. Na wiosnę 1940 roku w naszej wsi zaczęto

organizować „dobrowolnie - przymusowy” kołchoz. Już był wybrany i mianowany przewodniczący kołchozu oraz siedmiu jego członków i do 1941 roku do czasu, gdy Niemcy zaatakowali Związek Radziecki, nie zdążono zorganizować kołchozu.

Wraz z przybyciem władz niemieckich, które przybyły na trzeci dzień po ataku, wprowadzono nowe porządki - dostawę kontyngentu zbożowego. Za dostawę płacili odzież, tkaninami i różnymi narzędziami gospodarstwa domowego. W 1942 roku, wiele osób wywieziono na roboty do Niemiec. Do wsi przychodziła policja z gminy i w rodzinach, w których było więcej dorosłych osób „dobrowolnie - przymusowo” wyznaczała osoby na wyjazd do Niemiec.

Tegoż 1942 roku, gdzieś na początku lipca zaczęła nadciągnąć nad wieś groźnie wyglądająca, bardzo duża, czarna chmura, więc gdziekolwiek byli ludzie to zaczęli uciekać do domów. Było to w porę obiadu. Zaczął kropić deszcz, a po nim padał gęsty i wielki grad. Burza nie trwała długo, ale zniszczyła w 100 % upraw w polu i w ogrodach - jak ustaliła komisja, która przyjechała z gminy jeszcze tego samego dnia. Po burzy, ludzie powychodzili z domów, a tak głośno wszyscy lamentowali, że słychać było ich na dużą odległość. Pewien człowiek nie zdążył dobiec do swego domu dwudziesta metrów, upadłszy nieprzytomny. Po burzy ludzie przynieśli go do domu – cały był w siniakach. Później około dwóch tygodni chorował. W całej wsi od północnej i zachodniej strony grad wybił szyby w oknach, a z dwóch domów we wiosce całkowicie zerwało dachy. Niektórzy ludzie ze wsi z ciekawości zebrali kilka gradowych kul i zważyli je, a były takie co ważyły do pół kilograma. Na drugi dzień przyjechała do wsi niemiecka kuchnia i gotowała raz na dobę obiad, który wydawano za

darmo wszystkim potrzebującym.

W październiku (1942 r.) zostałem wywieziony do Niemiec. Najpierw przywieziono mnie do lagru w Krakowie. Spędziłem tam kilka dni i stamtąd wysłali mnie do Berlina. Berlin - Kladow - tak nazwało się to miejsce, gdzie mnie przywieziono. Mieszkałem w gospodarstwie na wybudowaniu, gdzie były 3 domy w odległości 1 km od centrum Kladowa. Pracowałem w lesie, dostarczając drewno do różnych fabryk. U gospodarza pracowało ze mną jeszcze trzech mężczyzn: dwóch Polaków i Ukrainiec. Wszyscy pracowaliśmy w lesie, a gdzieś po około dwóch miesiącach przybyło do nas dwóch Francuzów. Oni pracowali w gospodarstwie, w którym były trzy konie, siedem krów i pięć świń. W odległości 1 km od naszego gospodarstwa było lotnisko, nad które często nadlatywały angielskie samoloty i bombardowały je. Na wiosnę 1945 roku przybliżał się do nas wschodni front - wojska radzieckie gnały Niemców na zachód. Z 27. na 28 kwietnia 1945 roku przez całą noc trwała wielka strzelanina. Wszyscy, którzy mogli, ukryli się w piwnicy domu. Dom był dwupiętrowy, a wówczas w jeden z pokoi na drugim piętrze uderzył armatni pocisk, wybuchając zniszczył wszystko. Rankiem 28 kwietnia wszystko ucichło. Wyszliśmy na podwórze. W pobliżu naszego domu przebiegała główna droga. Podjechał samochód ciężarowy, a na nim pełen żołnierzy radzieckich. Blisko Żołnierze stanęli blisko nas wymyślając, kto i gdzie jest. Po dziesięciu minutach przyjeżdża następny samochód i też zatrzymuje się obok nas. Z kabiny wyszedł oficer i jakoś zwrócił na mnie uwagę, podszedł do mnie i zapytał, kim jestem i skąd. Odpowiedziałem mu, a on na to do mnie (cytuję jego słowa): „*Patrz no, ty bandyto, jak daleko od nas uciekłeś!*” Wyciąga z kabury pistolet, przykłada z tyłu mojej głowy i rozkazuje mi: „*Idź naprzód, nie oglądaj się!*”,

i poszedłem. Prowadzi mnie w kierunku garaży, które były 50 metrów od podwórza. Idę i usłyszę, że za mną powstał jakiś hałas i padają niezrozumiałe słowa, nagle wszystko ucichło. Podeszedłem do garaży, obróciłem się do tyłu, a tu nikogo nie ma. Potem wracam na podwórze, a do mnie podchodzi dwóch żołnierzy i mówią: „*Masz szczęście synu, że byliśmy tutaj i usłyszeliśmy, jak kapitan pytał cię, a ty mu odpowiadałeś, rozumiemy cię, bo jesteśmy ze Lwowa. Znaleźliśmy powód, żeby go od ciebie odciągnąć, tu jest front a on był pijany – mógł zastrzelić cię*”.

To wszystko miało miejsce 28 kwietnia 1945 roku rano i gdzieś około południa przybyło wielu żołnierzy a wraz z nimi wielu gospodarzy jak ja. Potem przyszedł jakiś urzędnik w cywilnym ubraniu, pojedynczo każdego z nas wzywał do swojego pokoju, prowadził przesłuchanie i zapisywał. Zapytał mnie: „*Czego sobie życzysz?*”. Odpowiedziałem mu, że chcę do domu, bo wkrótce będą trzy lata, jak nie widziałem swoich rodziców i nic o nich nie wiem, a on zaśmiał się i powiedział do mnie: „*Nie, my ciebie wyzwoliliśmy, trzeba abyś nam pomógł – pójdziesz do wojska*”. I w dwie godziny po przesłuchaniu, byłem już żołnierzem, miałem plecak a w nim pełno ręcznych granatów. Jedziemy na zachód.

Przyszedliśmy do jakiegoś gospodarstwa na wybudowaniu (nie pamiętam jego nazwy). Bardzo duże gospodarstwo, nikogo w nim nie było, więc rozłożyliśmy się tam na noc. Na drugi dzień dostaliśmy wojskowe ubrania i broń. I tak przypisano mnie do 130 Pułku strzelców, w którym służyłem w Niemczech przez prawie rok. 11 lutego 1946 roku w obozie w Altes (Land w Dolnej Saksonii) – załadowano nas do pociągu i wywieziono do obozu Horohowieckiego w województwie horokowskim, gdzie służyłem aż do 18 marca 1950 roku.

Drogi czytelniku (z opowiadań moich krewnych i mieszkańców wsi Kopysno) w latach 1943 – 44, gdy armia sowiecka przegnała Niemców na zachód, a nasz kraj nazywany Nadsaniem podlegał Polsce, słychać było pogłoski, że polski rząd będzie Ukraińców przesiedlać na Ukrainę. Wówczas to ludzie zaczęli na wszelki wypadek zaopatrywać się w różne produkty spożywcze, które nie psuły się szybko, piekli chleb i suszyli go, i różne zapiekanki. Pod koniec września 1945 r. do wioski przybyło wojsko polskie i rozkazało ludziom, żeby za dwie godziny opuścili wioskę i udali się na stację kolejową w miejscowości **Niżankowice**, gdzie przechodzi granica: „... *gdźż pojedziecie na Ukrainę, możecie ze sobą wziąć co tylko chcecie i ile możecie*”. I tak na ulicy w pobliżu dworca kolejowego, ludzie żyli około tygodnia, może i więcej, nikt tak naprawdę nie pamięta, z całym swoim majątkiem i inwentarzem zwierzęcym, pod otwartym niebem. Odległość od Niżankowic do Kopysna wynosiła 10 km. Niektórzy ludzie nawet skorzystali z tego, bo pojechali do wioski i przywieźli paszę dla inwentarza. W październiku na stację podstawili wagony towarowe, załadowano ludzi wraz z inwentarzem, całym ich majątkiem i 8 października (1945 r.) wywieźli ich na Tarnopolszczyznę. Przywieźli ich do stacji kolejowej Dżuryń w powiecie czortkowskim 8 grudnia i rozładowali na ulicy w pobliżu dworca kolejowego w półmetrowy śnieg przy mrozie minus 12° C. Ludzie nanieśli do budynku stacji kolejowej słomy i umieścili tam dzieci i kobiety, a ci którzy czuli się lepiej, byli blisko inwentarza. I tak ci nieszczęśni kopystanie, jak mogli tak jeden drugiemu pomagali nawet przez kilka dni, zanim ich władza sowiecka rozmieściła w wioskach powiatów: czortkowskiego, buczackiego i monasterskiego, gdzie były wolne domy, opuszczone wcześniej przez Polaków, którzy

przenieśli się do Polski. I tak kopystanscy ludzie znaleźli się we wsiach: Trybuhowce, Podlassia, Podzameczek, Puszkari, Mateusziwka, Nowe Petlykowce, Zwenigorod – powiatu buczackiego, Korostjatyn i Słobidka – powiatu monasterskiego oraz w Słobodce Dżurinskiej w powiecie czortkowskim.



„Młodzież z Kopysna – wieś Nowe Petlykowce, 1947 r.”

(na ławce siedzą: mój kuzyn Jan Krupa, na prawo od niego moja siostra Katarzyna, po lewej - Katarzyna Hyla. Stoją od lewej na prawo: Zofia Maksim, Stefa Kaczmar, Olga Maksim, Aleksandra Halujko, na skraju z prawej - moja przyszła żona Katarzyna)

Tak więc, drogi czytelniku, na rozkaz polskiego rządu, ludzie z Kopysna opuszczali wieś tak jak kto mógł: niektórzy na podwodach, a inni na pieczo. Mój kuzyn **Krupa Włodzimierz** wraz z ojcem, bratem **Janem** i jego żoną **Olgą** i dwiema córkami: **Marią** i **Anną** - bliźniaczkami, które miały po 7 miesięcy, jechali razem na wozie. Wraz z nimi jechali na swoim wozie sąsiedzi **Kaczmarowie**: **Stanisław**, jego brat **Roman**,

siostra Paulina, ich matka i żona Stanisława Maria. Odjechali od wioski może z kilometr, jak naprzeciwko nim nadjechało Wojsko Polskie (tak zwana karna ekspedycja). Przeszukali wozy, dokumenty i z jakiegoś powodu zainteresowali się Kaczmarem Romanem. Był dobrze ubrany, ponieważ kilka dni temu przyjechał z Niemiec. Zabrali go z wozu. Rozebrali go do bielizny i zaczęli bić kolbami karabinów w nogi, ramiona i głowę. Krzyczał, prosząc, żeby go zastrzelili, a nie torturowali, a oni bili go nadal, dopóki nie zabili. Wszystko to wydarzyło się na oczach jego matki i siostry. Opowiedział mi o tym mój kuzyn Włodzimierz, który widział to na własne oczy, bo jechał wraz z tymi sąsiadami.

I tak rząd sowiecki wiozł tych nieszczęśliwych kopystan z **Nizankowic do Dżurinia** pociągiem towarowym około 500 km przez dwa miesiące. Małe dzieci nie były myte, nie przebrane, tak rozmnożyły się wszy, że kiedy w Dżurinie ludzie rozmieścili się na dworcu kolejowym, to strach było patrzeć, jak wszy łążyły po ścianach jak muchy. Dzieci już nie płakały, a skomlały jak szczenięta. Dwie córki bliźniaczki mego kuzyna Włodzimierza zmarły w podróży i zostały pochowane na cmentarzu w Dżurinie.

Mój ojciec Piotr urodził się w 1900 roku, a mama Zofia w 1898 roku, starsza siostra Maria urodziła się w 1919 roku, jej mąż Jan i dwoje dzieci: Maria urodzona w 1938 r. i Włodzimierz w 1940 r. żyli z nami w tej samej rodzinie.

Ja, Jan (Iwan Krupa) urodziłem się w 1926 r., moja siostra Katarzyna urodziła się w 1929 r., siostra Olga urodziła się w 1932 r., siostra Anna urodziła się w 1935 r. i brat Józef urodził się w 1941 r.

I tak, na wiosnę 1941 roku mój szwagier Jan został zabrany do wojska na tzw. szkolenie i wówczas wybuchła wojna,

poszedł on na front i zaginął gdzieś bez wieści. Mnie w 1942 r. zabrano do Niemiec i w okresie od 1943 do 1947 r. nic nie wiedziałem o wysiedleniu wsi Kopysno, bo moje listy, które pisałem nie wracały do mnie.

Wiosną 1947 roku jakoś cudem otrzymałem list od **Kosowskiego Włodzimierza** z Peredylnicy (blisko Nizankowic), który poinformował mnie, że moja wioska została wysiedlona, ale on zna pewnego człowieka z mojej wsi - **Kaczmara Jana** - osiadłego w pobliżu miejscowości Sołonowatka niedaleko Peredylnicy i da mi jego adres. Napisałem do niego i otrzymałem od niego adres jego brata **Andrzeja Kaczmara**, który osiedlił się we wsi Puszkary w powiecie buczackim. Napisałem do niego, a kilka dni później dostałem dwa listy: jeden - od niego, a drugi - od swego ojca, ponieważ wieś Nowe Petlykowce, gdzie osiadł mój ojciec odległa była o 1,5 km, więc często ze sobą rozmawiali. Kiedy przeczytałem oba listy, byłem bardzo podekscytowany, aż zapłakałem. Zobaczył to mój dowódca kompanii i zapytał mnie o co chodzi. Opowiedziałem mu, a on zaczął mnie uspakajać, po czym udał się do sztabu i załatwił dla mnie przepustkę na 25 dni, a ja jeszcze tego samego dnia wyjechałem do domu i przybyłem do swojej rodziny dwa dni przed Wielkanocą.

Dziękuję Bogu, że obchodziłem Wielkanoc 1947 roku wraz z ojcem, mamą i czterema siostrami, bratem i dwojgiem dzieci mej siostry Marii, którzy mieszkali razem w tej samej rodzinie. Moja radość z tego szczęścia była bezgraniczna, wierzę, że jest to błogosławieństwo biskupa Jozafata Kocyłowskiego, którego spotkałem jako pierwszy z mieszkańców wsi, a towarzyszy mi ono przez całe życie aż do teraz. Wszystko, co dzieje się w życiu dzieje się z woli Boga. To źdźbło żyta, wyrosłe we wsi Kopysno we wrześniu 1938 roku, które miało siedem kłosów,

nie kwitło i nie miało ziaren, tak stało i uschło – to wskazówka od Boga, bo dokładnie siedem lat mija od końca września 1945 roku, jak ludzie zostali wypędzeni z wioski, a wieś spalono (życia we wsi nie ma). Na mapie Polski wsi Kopysno nawet nie zaznaczono, a inne wsie w tym obszarze Nadsania nadal istnieją.



„Ojciec mojej żony Paweł Łoś w pobliżu cerkwi we wsi Kopysno w 1970 roku”

Buczacz 2010 roku

Tłumaczenie:

Mariusz Lech Jesionowski

E-mail: marcopl7@wp.pl